

MICHAŁ SOBELMAN

WYJAZD. MARZEC 1968 – REFLEKSJE ŚWIADKA

Piszę ten tekst z perspektywy przeszło czterdziestu lat, mając świadomość, jak bardzo świat, a w szczególności Polska, zmieniły od marca 1968 r. Wydarzenia marcowe doczekały się obszernej literatury, tak że dziś, w świetle opublikowanych dokumentów i minionych lat, patrząc na to, co wydarzyło się wtedy – wiosną 1968 r. mamy w posiadaniu zupełnie inną wiedzę. Zmieniliśmy się również my, którzy w jakiś sposób uczestniczyliśmy w tamtych wydarzeniach jako świadkowie, czasami jako ofiary. Słynne i dramatyczne przemówienie Władysława Gomułki w Sali Kongresowej 19 marca śmieszny dziś swym stylem, językiem, prymitywną argumentacją, ale wtedy przejmowało nas grozą.

Niniejszy tekst jest karkołomną próbą zrekonstruowania własnej pamięci. Mówiąc prościej, abstrahując od przeczytanych prac i analiz, chciałbym przedstawić jedynie to, co w utkwiło w mojej świadomości i co pamiętam z tamtych lat.

Polska drugiej połowy lat sześćdziesiątych, okres tzw. małej stabilizacji. Potworna szarość i siermiężna nuda na ulicach naszych miast, którą tylko czasami można było utopić w morzu wody, kawa zbożowa, brak masła w sklepach, coca-cola – napój imperialistów, w telewizji hasła o „imperialistycznych mackach Ameryki” i „izraelskiej soldatesce”.

W marcu 1968 r. miałem 15 lat, mieszkałem w przemysłowym Sosnowcu, który po wyjeździe z Polski jawił mi się jako jedno z najpiękniejszych miejsc globu, a wtedy był ledwie zapyziałą dziurą z siecią szarych ulic z nieciekawymi sklepami, barami mlecznymi uwiecznionymi w nieco późniejszych filmach Stanisława Barei, nad którymi unosiły się zakurzone transparenty o „właściwej drodze do socjalizmu”. Ówczesny ogrom beznadziei istotnie wydawał się przygniatający.

A jednak było coś, co cieszyło i przydawało temu życiu wyjątkowego uroku. Jak inni moi rówieśnicy kochałem się w boskiej Poli Raksie, która właśnie pojawiła się serialu „Czterej pancerni i pies” i wyłącznie dla niej szedłem na film „Popioły” Andrzeja Wajdy, wstawiając do butów poskładaną gazetę, żeby wyglądać na wyższego i starszego, jako że film był dozwolony od lat 16. Fascynowały mnie „Czerwone Gitary”, „Skaldowie”, Niemen i Halina Frąckowiak. Kupowałem grające pocztówki z utworami „Beatlesów”, „Shadowsów”, z solistą Cliffem Richardem. Był jeszcze Salvatore Adamo, Roy Orbison i francuski wokalista Johny Holiday, który spowodował straszną rozróbę w dopiero co oddanym hotelu Cracovia, a prasa donosiła o wyczynach chuligana z Zachodu.

Można było pasjonować się sukcesami polskiego sportu; złotymi medalami pięściami: Kuleja, Kasprzyka, Grudnia, wyczynami w kolarstwie Ryszarda Szurkowskiego, szablistów, rekordami lekkoatletów, choć tu akurat dwa nazwiska wywoływały lekki niepokój: rekordzista świata w trójskoku Józef Szmidt oraz znakomita sprinterka Irena Kirszenstein. Kilka miesięcy później podczas olimpiady w Meksyku okazało się, iż niepokój ten był jak najbardziej uzasadniony, bowiem Szmidt, choć dwukrotny mistrz olimpijski, zajął dopiero siódme miejsce, a Kirszenstein, która właśnie po wyjściu za mąż zmieniła nazwisko na Szewińska, popełniła prawdziwy blamaż, no bo nie dość, że wygrała przez czysty egoizm w biegu na 200 m, to później w biegu sztafetowym 4x100 umyślnie upuściła pałeczkę, co wyraźnie pokazała TVP w audycji pt. „Porażka idola”, żeby tylko nasza narodowa drużyna sprinterek nie zdobyła złota.

Również w moim przypadku niezbyt polsko brzmiące nazwisko było powodem licznych niepokojów i kłopotów. W moim rodzinnym mieście przed wojną mieszkało sporo Żydów. Spis ludności z 1938 r. zarejestrował prawie 25 tys. Żydów, co stanowiło przeszło 20% mieszkańców miasta. Była wielka synagoga, zwana „miejską”, domy modlitwy, instytucje społeczne, szkoły, sierociniec, szpital, cmentarz. Z tej listy w latach 60. XX w. pozostał tylko ten ostatni i jeszcze kilka rodzin, które niezbyt szczyliły się swym żydowskim pochodzeniem. Zauważyłem, iż w ostatnich zdaniach nader często używam słów: „żyd”, „żydowski”, co w tamtym okresie było określeniem dość przykrym, wstydliwym, a czasami wręcz obelgą. Na boisku piłki nożnej za złe podanie lub niestrzelenie bramki po dość łagodnych wyzwiskach typu: „oferma”, „debil”, „palant” na końcu nieodmiennie padało słowo „żyd”. Bardzo wcześnie, bo mając chyba nie więcej niż 8–10 lat zrozumiałem, iż zapewne nie ma w Polsce nic gorszego niż bycie „Żydem”.

Od ojca i jego znajomych dowiedziałem się o tych szczęśliwych Żydach, którzy w okresie okupacji nie dość, że mieli piękne nieżydowskie rysy, zwane aryjskimi, to jeszcze czysto mówili po polsku, bo tylko tacy mieli szansę na ocalenie. Nie bardzo rozumiałem, co znaczy mieć aryjskie rysy lub mówić czystą polszczyzną, skoro moi sąsiedzi mieli dość urozmaiconą urodę, wyrażali się w gwarze, która nie zawsze była dla mnie zrozumiałą, a ojciec, choć miał chabrowe oczy, siwe włosy arystokraty i jeszcze wystawiał się dość literacko, to jednak w spisie lokatorów wiszącej na klatce schodowej tylko obok naszego nazwiska ktoś dopisywał czasami epitet „żyd”. Wyraz ten zresztą systematycznie był wymazywany przez dzielnego gospodarza domu, który czasami po południu w szarym mundurze ormowca oznajmiał mi, że władza ludowa walczy z chamstwem i antysemityzmem, jednocześnie przypominając słowa poety, że „w ludowej ojczyźnie nie ma już miejsca na Żyda czy Cygana”.

W czerwcu 1967, dwa tygodnie przed wakacjami, gdy właśnie kończyłem szkołę podstawową, wybuchła wojna na Bliskim Wschodzie, zwana później wojną sześciodniową. Wojna ta niespodziewanie zaważyła na moich późniejszych losach i w rezultacie doprowadziła do wyjazdu do Izraela. Izrael był mi wówczas krajem dalekim, egzotycznym i całkowicie obcym. Mieszkali tam wprawdzie nieznani wujkowie, którzy

kiedyś przed świętami Bożego Narodzenia wystali skrzynkę pomarańczy, a raz nawet kopertę ze znaczkami, które wtedy namiętnie kolekcjonowałem i przez to moja sympatia do Izraela gwałtownie wzrosła. Izrael w tej wojnie niespodziewanie zwyciężył, co z politycznego i sportowego punktu widzenia było sprawiedliwe, jako że małe państwo pokonało silniejszych sąsiadów – Arabów, którzy przecież nie tylko gnębili Stasia i Nell, to jeszcze podlizywali się imperialistom, a ostatnio stali się nawet sojusznikami Związku Sowieckiego, który w przeszłości jako Rosja zawsze był wrogiem Polski.

Na samym początku miałem wrażenie, iż ludzie przyjęli tę wygraną Izraela w sposób niezwykle fajny i miły, tak jak należy cieszyć się ze zwycięstwa drużyny, która z góry skazana była na klęskę. Cieszyli się więc moi kumple, a także koledzy z ojca pracy, którzy przyszedli pewnego czerwcowego wieczoru z wódką świętować zwycięstwo „naszych Żydów nad Arabami Rusków”. Siedząc w kuchni czułem, że przyszedli zaprzyjaźnieni kibice i nawet fraza „Żydki idą na Kair” powiedziana jakże serdecznym tonem nie bardzo już przeszkadzała. Libacja ta jednak, której odgłosy podobno można było słyszeć na klatce schodowej, bardzo zdenerwowała gospodarza naszego budynku, owego ormowca, a potem nawet samego I sekretarza Partii tow. Władysława Gomułkę. Nie uwierzyłbym, ale na własne uszy słyszałem w telewizji, jak kilka dni później, 19 czerwca, tow. Wiesław, przemawiając na Kongresie Związków Zawodowych grzmiał, że [...] *że agresja Izraela na kraje arabskie spotkała się z aplauzem w syjonistycznych środowiskach Żydów – obywateli polskich, którzy nawet z tej okazji urządzali libacje [...]* Niby się wszystko zgadzało, ale nie do końca, no bo co znaczyło określenie „syjonistyczne środowiska”, nie mówiąc o tym, że koledzy ojca pewnie Żydami nie byli, wszak w niedziele chodzili na msze do kościoła, z drugiej strony ja również tam chadzałem w celach towarzyskich, więc i tego już nie można było być pewnym. Następnie Gomułka mówił, że każdy obywatel Polski powinien mieć tylko jedną ojczyznę – Polskę Ludową, co było słuszne i logiczne, ale zaraz potem nadmienił, że władze traktują jednakowo wszystkich bez względu na narodowość, co było dla mnie o tyle dziwne, że dotychczas myślałem, że ci, którzy mieszkają w Polsce, są naturalnie Polakami. Najgorsze padło pod koniec, bo znów mówił o Żydach, którzy stanowią piątą kolumnę, że opowiadają się za *agresorem, za burzycielem pokoju i za imperializmem*, wreszcie pogroził, *żeby ci, którzy odczuwają, że słowa te skierowane są pod ich adresem – wyciągnęli z nich właściwe dla siebie wnioski*. Ja, rzecz jasna, nie odczułem, że Gomułka mówił o mnie, co zresztą potwierdziła moja klasowa koleżanka, z którą właśnie zacząłem chodzić, ale mój ojciec, mający zapewne wyrzuty sumienia z powodu tej nieszczęsnej libacji, nie był tego już taki pewny. Wakacje przeszło dość nerwowo, bo w prasie wciąż pojawiały się artykuły o *żydowskich agresorach i izraelskiej soldatesce*, później wszystko wróciło prawie do normy.

A potem przyszedł marzec i zaskoczył nas śniegiem, mrozem i dramatyzmem. Wydarzenia toczyły się w oszałamiającym tempie jak podczas pamiętnego dwumeczu Górnik Zabrze – Manchester United w ćwierćfinale Pucharu Mistrzów. 28 lutego Górnik przegrał dość pechowo, bo dopiero w końcówce, 0:2 w Manchesterze. 13 mar-

ca Anglicy ze swoimi gwiazdami Bobbym Charltonem, Bestem i Lawem przyjechali do Polski na rewanż. Mecz odbył się na Stadionie Śląskim w Chorzowie. W drugiej połowie Lubański strzelił cudowną bramkę, niemożliwe stało się całkiem realne, a sprawozdawca Jan Ciszewski, który mieszkał w moim mieście dwie ulicy dalej, histerycznie wrzeszczał do mikrofonu: *Proszę państwa to jest dramat, na który patrzy cała Polska*. Oglądałem ten mecz w telewizji, ale u nas w domu odbywał się zupełnie inny dramat. Wydarzenia ze stolicy z 8 marca dochodziły powoli i chaotycznie. Doniesienia w Trybunie Ludu i zagłuszanej Wolnej Europie, choć zupełnie sprzeczne, siały niepokój. Znowu mówiono o syjonistach i Żydach, witryny w księgarniach obłożone były nową książeczką dra Tadeusza Walichnowskiego „Izrael a NRF” o tajemnych kon-szachtach syjonistów i niemieckich rewanżystów.

19 marca przemówił Władysław Gomułka. Wiec w Sali Kongresowej transmitowany był na żywo przez telewizję. Dziś nawet nie pamiętam, co było straszniejsze, długie i nudne przemówienie tow. Wiesława o chuliganach, młodzieży bananowej, politycznych bankrutach i trzech kategoriach Żydów czy też rozentuzjasmowany, wielotysięczny aktyw robotniczy żądający oczyszczenia Partii z syjonistów i natychmiast owego wysłania ich do Dajana. Przemówienie Gomułki trwało dobre trzy godziny, a potem już nic nie było jak dawniej. Uśmiechy nauczycieli, szeptki sąsiadów, ludzie w tramwaju, z których prawie każdy poznał w życiu porządnego Żyda, więc nie wszyscy to Marian Kargul vel Icek Kierbel, nie mówiąc już o Szlajferach, Blumsztajnach, Dajczewandach, Grossach, Goldmanach...

Kim byłem wiosną 1968 roku? Wciąż jeszcze nieskazitelnym polskim chłopcem, do którego głowy zaczęły przenikać wątpliwości co do pochodzenia, czy już jednym z zadzumionych?

W przeciągu kilku tygodni moje miasto bardzo się zmieniło. Już wiedziałem, ilu Żydów ma jeszcze swoje sklepiki przy ulicy Modrzejewskiej, że facet, który naprawiał nam telewizor, jest z naszych, podobnie jak kierownik sklepu monopolowego, jeszcze adwokat, ginekolog... Byli wszędzie! I jak tu nie wierzyć gazetom! Nasz znajomy pan Z. był najlepszym fotografem w mieście. Miał świetnie prosperujący zakład, zjeżdżali do niego nowożeńcy z okolic, wszyscy chcieli mieć zdjęcia komunii robione u pana Z. *Ale, czy to przystoi żeby pamiątkę z komunii świętej robił Żyd?* – pytała sąsiadka na korytarzu. *Ty jesteś z naszych, choć twój ojciec to Mosiek* – przekonywała matka koleżanki z podstawówki. Pewnego wieczoru odwiedził nas dzielnicowy, nie przyszedł sam, towarzyszył mu gospodarz naszego domu, ów ormowiec, tym razem z posępną miną. *Panie Sobelman, zagał grzecznie milicjant, sami widzicie, co tu się porobiło. To wszystko przez tych syjoników, czy jak im tam. Więc muszę wam zadać kilka pytań, takie są rozporządzenia. Wy, chyba macie rodzinę w Palestynie, ale nie chcecie wyjeżdżać? To dobrze. Polsce potrzebni są porządni obywatele pochodzenia żydowskiego* – powiedział i poszedł, a ja już wiedziałem – mój ojciec był obywatelem pochodzenia żydowskiego, nie Żydem, a tylko pochodzenia żydowskiego. To już lepiej, bardziej elegancko, wobec tego kim byłem ja? Edward Gierek,

I sekretarz partii w województwie katowickim, wynalazł jeszcze subtelniejsze określenie, mówiąc o *Polakach mających nierdzennie polskie pochodzenie*. Przemówienie Gierka nie poprawiło atmosfery, tym bardziej, że wspominał przy tej okazji o *śląskiej wodzie, która pogruchocze kości syjonistom i sługusom imperializmu*.

Zaczęli przychodzić ludzie, ci z Modrzejewskiej i inni, nieznajomi. Szeptem w nieznanym języku (później okazało się, że to jidysz) rozprawiali o czymś, konspirowali... Gwałtownie przechodzili na polski, wtedy rozumiałem. Kiedyś ktoś w największej tajemnicy powiedział, że dowiedział się, że tam w Warszawie przygotowano plany, żeby tych, którzy nie wyjadą, zgrupować w jednym, określonym miejscu na Mazurach. *To niemożliwe, to przecież jak obóz koncentracyjny* – powiedział pan L., o którym było wiadomo, że 25 lat wcześniej siedział w Auschwitz, ale zaraz dodał, że wtedy również wydawało się to niemożliwe.

Więc może, żeby uniknąć tego obozu, ludzie zaczęli mówić o wyjazdach, a może rzeczywiście bardzo pragnęli wyjechać. Nie były to tylko rozmowy, pisały o tym gazety, że ludzie narodowości żydowskiej powinni wyjechać, że są ułatwienia dla ubiegających się o emigrację do Izraela. Teoretycznie Izrael był krajem docelowym, w praktyce można było jechać dokądkolwiek. *Zezwolenie na wyjazdy emigracyjne do Izraela udziela się obywatelom polskim, którzy określają swą narodowość jako żydowską* – głosił dokument Biura Paszportów MSW. W praktyce to nie obywatel, ale władze określały kogoś jako obywatela narodowości żydowskiej. Ci, którzy nie mogli jechać, bo nie byli określani jako Żydzi, zazdrościli tego tym mogącym opuścić PRL. Ci z kolei, co mogli, w wielu przypadkach czynili to z ciężkim sercem.

Fotograf Z. wyjechał z rodziną do Szwecji, technik telewizyjny do Kanady, właściciele pracowni haftu, choć podali, że lecą do Izraela, dotarli do USA. W końcu przyszła kolej na nas. Był strach, brakowało perspektywy, było uczucie, że nas tu nie chcą, że nie ma wyboru, że musimy. Dla koleżanek byłem Polakiem, pewnie byłem Polakiem również dla kumpli od piłki, nawet jeśli czasami wołali za mną „Żyd”. To nie oni jednak decydowali o mojej narodowości. W listopadzie 1968 r. złożyliśmy papiery na wyjazd do Izraela, wraz z koniecznym wnioskiem o zezwolenie na zmianę obywatelstwa. W maju 1969 nadeszła pozytywna odpowiedź z zaleceniem opuszczenia terytorium PRL w przeciągu 45 dni. Z niedowierzaniem oglądałem ze wszystkich stron niebieski *dokument podróży*, ważny na wszystkie strony świata. Na trzeciej stronie dokumentu widniało, że *posiadacz niniejszego dokumentu nie jest obywatelem Polski*.

Jak się wyjeżdża z kraju, o którym zawsze myślałeś, iż jest twoją ojczyzną? Jak emigruje się do państwa, które już za chwilę stanie się nową ojczyzną, choć nigdy o nim nie myślałeś w takich kategoriach?

Należy opuścić mieszkanie, gdzie mieszkałeś przez większą część życia, trzeba je wyremontować i pomalować dla przyszłego lokatora. Pakowanie to przykry, choć konieczny obowiązek. Co można zabrać, żeby nie zostało zakwestionowane przez celników, co zostawić? Rzeczy nie mogą być zbyt nowe, ale też zbyt stare. Przedmioty

sprzed 1945 uznawane są skarb państwa, w wyjątkowych przypadkach można uzyskać zezwolenie od konserwatora, ale się nie uzyskuje. Nie można zabrać nowego roweru, więc trzeba go trochę poobijać, nie można nowych dywanów, należy je rozchodzić, nie można zabrać nielicznych pamiątek rodzinnych – bo nie są już twoje, lecz państwa.

Najtrudniejsza sprawa to książki, 20 na osobę, co więc wybrać, czy te najbliższe sercu, choć już przeczytane, czy te najgrubsze? Ciężki dylemat.

A potem już tylko rozstania. Żegnasz kumpli z podwórka, kolegów z klasy i dziewczynę, w której się po kryjomu kochałeś.

Wyjechałem z Polski w piątek 13 czerwca 1969 r. słynnym już pociągiem relacji Warszawa–Wiedeń. Było bardzo wzruszająco, bo na dworcu w Katowicach żegnała mnie cała klasa. Dobrze po północy przekroczyłem po raz pierwszy w życiu granicę państwa, przypomniałem sobie, że za kilka dni Polska gra z Bułgarią w eliminacjach do Mistrzostw Świata. Zrozumiałem, że na dobre wyjeżdżam z Polski, jedyne kraju na świecie, w którym nie pozwolono mi być Polakiem.